

Na początku było słowo...

Tadeusz Różewicz: „Wyszedł z domu” Teatr Narodowy. Reżys. Wanda Laskowska. Scenogr. Zofia Pietrusińska.

WYSZEDŁ z domu“ to jeszcze jedna sztuka Różewicza, poszukująca w teatrze nowych form. Widz ma wrażenie, że autor nie tylko demaskuje pewne zjawiska życia, ale demaskuje też to, co dotychczas stanowiło teatr, bez czego teatr obejmć się nie mógł, a więc akcję i dialog, a nawet charakterystykę występujących osób. Natomiast największy nacisk położony jest zgodnie z jego talentem poetyckim, na słowo. Sam autor zresztą wyznał w jednym ze swych oświadczeń: „Na początku teatru było, jest i będzie Słowo“. Kiedy indziej zaś wyznał, iż daży do teatru, „który nie miałby nigdy nic wspólnego z tak zwanym prawdziwym życiem“.

„Wyszedł z domu“, sztuka, której autor dał podtytuł „tak zwana komedia“, zgodna jest z wszystkimi założeniami teoretycznymi Różewicza. Jest on w tym swoim antyrealistycznym zamiarze konsekwentny i w swoim rodzaju doskonały. Jak przyjęcie jednak publiczność jego sztukę, czy ją w pełni zrozumie — to już całkiem Inna sprawa.

Spektakl otwiera widok kobiety (Ewy) targanej potwornym niepokojem o męża. Niepokój realny połączony jest tu z niepokojami metafizycznymi, a głosy Pań, towarzyszące wewnętrznemu monologowi Ewy odgrywają coś w rodzaju chóru antycznego.

W dalszym ciągu akcji sceny niemal realistyczne z życia rodzinnego, przeplatane są oderwanymi od życia pantomimami oraz aluzyjno-symbolicznym Intermedium.

Zdawałoby się, że w takim układzie nie ma miejsca na humor, ale ów humor, na który publiczność zdaje się czekać i na który natychmiast reaguje oklaskami, przemawia chwilami ze sceny w formie satyrycznych aluzji do spraw powszednich naszego życia, albo w formie satyry obyczajowej dnia codziennego (życie rodzinne, skargi małego Beniamina).

Zasadniczym trzonem owej pseudokomedii jest motyw eskapizmu. Główny bohater, Henryk, utraciłszy po upadku na ulicy pamięć przeszłości, w której był normalnym ojcem rodziny, urzędnikiem zytym z rzeczywistością, nie chce pamięci odzyskać, nie chce powracać do dawnego życia. Narodził się na nowo i gdy za sprawą żony życie to do niego powraca — ucieka w niebyt. Najmocniej przemawia tu ostatnia scena sztuki, w której Henryk, broniąc się przed natrętnym przypliwem realnego życia, powoli bandażuje sobie na nowo twarz, odgradzając się tym bandażem od codziennej rzeczywistości, jaka go otacza.

Trudności wystawienia „Człowieka który wyszedł z domu“ są dla reżysera olbrzymie. Przede wszystkim wylania się tu sprzeczność, którą należy pokonać: utwór awangardowy, jakim jest sztuka Różewicza, nadaje się raczej ze względu na nietatwą formę na małą scenę eksperymentalną, niż na scenę Teatru Narodowego, a z drugiej strony ze względu na wielką ilość osób obsady i sceny pantomimiczne, wymaga większej przestrzeni.

Reżyser Wanda Laskowska zdołała jakoś te sprzeczności pogodzić, a do kształtu widowiska przyczynili się też w dużej mierze bardzo trafnie dobrani aktorzy.

Przede wszystkim wykonawcy dwu ról głównych Wanda Luczycka w roli Ewy i Ignacy Machowski jako jej odnaleziony mąż Henryk. Luczycka z właściwym sobie kunsztem wczuwania się w intencje autora ukazała postać jednocześnie realistyczną i całkowicie oderwaną od życia. Machowski nie zawiódł w ani jednej z trudnych scen. Pełną swobody i uroku ich córeczką Gizelą była Grażyna Staniszevska, a jej braciszkiem trochę za dorosłym (w tekście Różewicza i w słowach, które mówi, ma lat 10) był Damian Damięcki. Wszyscy inni znakomicie zgrani, dorównywali im kroku.

Scenografka nie poszła za drobiazgowymi wskazówkami proponowanymi przez autora. Nie uwzględniła projektu realistycznego wnętrza pokoju z zegarami, które chwilami stoją, a chwilami zaczynają chodzić. W ten sposób zagubiono ważny motyw względności czasu.